PANI ROKICKA

EPIZOD JEDNEJ NOCY



ARTUR SCHRÖDER

CHICAGO 1917

WYDAWNICTWO KOMITETU OBRONY NARODOWEJ

ARTUR SCHRÖDER

PANI ROKICKA

ARTUR SCHRÖDER

PANI ROKICKA

EPIZOD JEDNEJ NOCY

KOMITET OBRONY NARODOWEJ W AMERYCE

NAKŁADEM KOMITETU OBRONY NARODOWEJ
1225 NORTH ASHLAND AVE. CHICAGO, ILL.

Na rozmokłą, pokrytą tu i ówdzie płatami śniegu ziemię, zrytą granatami, skopaną tysiącem nóg, porozszarpywaną miejscami w jamy i wądoły, w których sterczały resztki oręża, potrzaskane, umazane krwią gnaty ludzkie i koni, gdzieniegdzie jeszcze drgające i ociekające czerwonym, kleistym szlamem, parującym mgłą i zaduchą padliny, ostatnie promienie purpurowego, również jakby w krwi umazanego słońca kładły się, zaglądając do wyrw i jam, pełnych stężałego już, zaprawionego mułem i posoką bagna.

Zabłysły w tym bagnie czasem rozwarte przerażeniem i męką oczy, zaszłe świeżym jeszcze bielmem śmierci, wyszczerzyły się

w bezgłośnym krzyku zęby rozwalonej szczęki, czasem zabulkotało coś od ostatniego tchu przypadłych do szlamu ust, poruszył się strzęp jakiejś nogi lub ręki, przewaliło w ostatnim kurczu jakieś ciało, jęk wyrwał się niespodzianie i konał natychmiast...

Z pod lasu podnosił się już opar nadwieczorny i delikatną swoją przędzą począł omotywać pola, chwiał się, wydłużał, rozsuwał pasmami, jak babie lato, wsiąkał w wyrwy i jamy i wygnany stamtąd ciepłem zaduchu krwi, dźwigał się napowrót, cięższy już, zwełniony, ociekający pod skośnymi promieniami słońca sznurami rubinów.

Zmieszał się z nim wnet dym szalejącej dalej walki, która jeszcze przed godziną tarzała się tu w wściekłości, a teraz pozostawiła po sobie niechlujstwo ścierwa końskiego i bezkształtnych brył mięsa ludzkiego. Przesiąkły tym dymem opar kłębił się znowu coraz niżej, zwijał w kule, podrygujące na rozciągniętych po polu trupach, odbijał się o nich, rozpryskiwał i coraz gęstszymi pasmami zasłaniał słońce.

Zniknęło tuż prawie zupełnie, z poza mgły tylko przeglądała jakaś siność, nadając całemu pobojowisku niewysłowienie żałosny widok bezruchu i nagłej pustki.

W pustkę tę wpadał od czasu do czasu daleki grzmot dział, szczekanie karabinów maszynowych, urywany, zmęczony grzechot pojedyńczej salwy i chrapliwy krzyk tysiąca obłąkanych głosów.

Cudacznie pokurczone ciała leżały tu już jednak nieruchome, szydzące jakby z tego, co się tam działo, obojętne na wszystko. Gdzieniegdzie tylko przyparty o bruzdę trup, z wyciągniętą szyją zdawał się nasłuchiwać czegoś, wlepiał przed siebie straszne gały, rozdęta gęba tłumiła krzyk, z którym miał się zerwać; — inny, w postawie klęczącej, z ręką w ładownicy, przechylił głowę w bok, niby wypatrując kogoś przed sobą, zajęty tym tak bardzo, że nie czuje, iż z ust cieknie mu gruby sznurek krwi, czepiający się nieogolonej brody i spływający przez piersi na ziemię; — kilkanaście znów kroków od niego przykucnął młodziutki chłopiec i gwałtem

wpycha rękami rozwalone z brzucha trzewia, chcąc nadążyć za towarzyszami; w tyle, jakby osłaniając się przed kulami, ręką nakrył wysoki żołnierz głowę, z której jak nożem obciął ktoś wierzchołek czaszki i odrzucił kilka metrów od niego.

A wszyscy zwróceni w stronę, skąd płynie odgłos walących się całych lasów. Żaden już jednak poruszyć się nie może. Zastała ich tak śmierć i przykuła nagle do ziemi, na którą zwalić się nawet nie mogą, by wreszcie wypocząć...

Jakaś daleka, zbłąkana kula padnie czasem kilka kroków przed nimi, zakręci w ziemi, plunie błotem zmieszanym krwią w te splugawione resztki człowiecze lub też odbije się o kamień, przyskoczy do upadłego i raz jeszcze wgryzie się w ciało, nie wycisnąwszy jednak z niego ani kropelki krwi, której już niema...

A potym znów cisza, w której snuje się urywane jakieś niby łkanie, zdławiony jęk, włóczący się pasmami coraz gęstszej mgły, stękanie, idące gdzieś z głębi ziemi, zmaltre-

towanej i pohańbionej, czasem coś jak przeciągłe ziewanie, przerywane czkawką...

I im bardziej milkną odgłosy bitwy, tym wyraźniej dźwigają się jęki, szmery i ciche skomlenia, sunące tuż przy ziemi i szepcące jej ostatni ból i wspomnienie.

Daleko, poza wałem ciał różnych mundurów, na krańcu krwawego pola, coś się nawet dźwignęło, z trudem podniosło na moment, by runąć napowrót ze skowytem... Chłód po zachodzie słońca i ścinana w ostre igiełki mgła, bezlitośnie wyciągają mroźnymi ukłuciami ostatnie resztki kołacącego się życia, jakieś strzępy, okruchy gasnącego istnienia w poszarpanych ciałach. Niektóre zaczynają drgać, rzucać się, jak robak wbity na kolec, kurczyć i rozprostowywać — czasem tylko ręka szarpie pazurami ziemię, lub noga ryje się w marznącą grudę...

W przesianych przez mgłę, bladych iskrach wschodzącego księżyca widać niekiedy rozwierające się nagle oczy, w krzepnącym błocie zanurzonej głowy, obłąkane gorączką usta, pełne krwawej cieczy, nie ma-

jące już sił wystękać niewysłuchanej prośby, czy przekleństwa... W mrocznej jamie przydrożnego rowu poruszy się coś i zadrze piskliwym, świdrującym śmiechem. Potym długie westchnienie i znowu cisza, nie przerywana niczym, bo i daleka walka już skonała.

Długo jest tak cicho. Słychać tylko coś, jak mlaskanie ziemi, chłepcącej rozrzutnie rozlaną krew, ścinającą się zwolna w czarną, galaretową masę, przesączającą się leniwie, jak maź, z wierzchołka grudy w zagłębienia.

Po chwili jednak wstają naokoło coraz wyraźniejsze głosy, skomlenia, postękiwania, mruczenia, chrapliwe, nieprzytomne jęki. Ci, których nie zabrano, bo czasu nie było, lub których uważano już za nieżywych, ocknęli się, ból ich rozbudził; jedni ruszyć się nie mogąc, patrzą w księżyc, mrugają powiekami lub oczy nieprzytomne wbijają przed siebie i przeciągle, długo, coraz ciszej kwilą, jak ptaki duszone w gnieździe; innych nawet już i na jęki nie stać, przewracają się tylko, kurczą, podrzucają, głowy zanurzają

w grudzie, krztuszą się i kaszlą, lub wymiotują krew. osiadającą im na brodzie i piersi i zastygającą w potworne guzy... Z pod góry zwłok, ktoś się nagle dźwignął i przysiadł, skulił się i kiwając się rytmicznie, wyje jak okaleczały pies, wyszczekując zmiażdżoną szczęką jakieś urwane słowa... Z rowu, z ogromnym trudem, wlokąc za sobą resztki urwanej nogi, na których trzęsą się krwawe strzępy, wydźwignął się, jak widmo, człowiek: oparłszy się na brzuchu i jednej ręce, drugą chce przetrzeć oczy, dwie ropiące się rany... za dotknięciem ich ryczy ohydnym głosem i wali się na kupę innych ciał. Ta rozruszała się już cała, trzęsie się, gnie, zwija, jak kłębowisko wężów, lada chwila się przewróci, głosy z niej idą, jak ze studni głębokiej, ktoś się w niej szamoce, chce się wydostać i nie może, jakaś noga wysuwa się, kopie i zapiera o czyjś brzuch, wreszcie jednym uderzeniem zsuwa kilka ciał, które walą się z hurkotem padającej broni i ciapkaniem rozlewającej się krwi na ziemię. A potym jęk: Jezu! Jezuuu!! jeden, drugi,

trzeci i nagle, jak przecięte wpół szablą, milkną... Odpowiadają im inne, coraz donośniejsze, z różnych stron, o różnych odcieniach.

Obudziło się pobojowisko.

Raz jeszcze zachwiało się nad nim życie i w męce bełkoce niezrozumiałe, ostatnie słowa, których nikt pojąć i nikt już wysłuchać niema...

Od strony lasu, obejmującego jednym bokiem pole, wysunęły się dwie postacie. Zbliżały się coraz bardziej, wreszcie zaczęły przechodzić krajem pobojowiska. Szli dwaj ludzie, cicho, ostrożnie, zapadając się w grzązkość zaprawioną, czepiającą się ich nóg, która niby kitem je oblepiała. Broczyli tą ciepłą jeszcze, lepką ziemią, wyszukując przejścia między leżącymi, lub obchodząc całe góry pokłębionych ciał. Przy jednej takiej zatrzymał się wyższy, z obrosłą młodym włosem, zmęczoną twarzą i szepnął:

— Stach! widzisz, tu padł Zwora z całym prawie swoim oddziałem. Drogo okupił śmierć. Zejdźmy na bok, tędy nie przejdzie.

Szli dalej w milczeniu.

Stacha mdliło od zaduchu krwi, trząsł się mimo chłodu i bał się, naprawdę bał, on, najodważniejszy w oddziale. Przed oczyma jego, przeżartymi dymem całodziennej walki, osłabionymi z nadludzkiego wytężenia, migały korowody mgławicowych wspomnień ubiegłego dnia, to straszne osłanianie odwrotu wielkiej armji, z bagnetem tylko w ręku, nieprzytomne z wściekłości zmaganie się z dziesięciokroć silniejszym wrogiem, rozporządzającym armatami, które trzeba było brać niemal na pięści, to padanie najbliższych towarzyszy i przyjaciół. Bał się teraz nastąpić na którego, bał się, by oczy nie padły na kogoś bliskiego, zbezkształconego granatem. I te coraz głośniejsze jęki, które na pobojowisku jęły wykwitać, jak ogniki świętojańskie w tajemną noc. A jęki, charczenia, rzężenia, syk jakiś, to skowyt, wzmagały się coraz bardziej. Czasem nastawała chwila ciszy. I nagle tuż obok podrywał się krótki przeciągły krzyk: Ratunku! Wody!! Uskakiwał wtedy na bok, ból wiercił mu

w sercu, całą siłą powstrzymywał się, by nie krzyknąć.

Starszy od niego, Jan, szedł ostrożnie, powoli, skupiony w sobie, zdający się nie widzieć niczego. Twarz mu tylko drgała, usta zacisnęły się silnie.

— Długo jeszcze?

— Przejdziemy do końca, potym pole drugie i znowu las. Pokażno mapę.

Stach miał właśnie przystanąć i wyciągnąć mapę z kieszeni, gdy wtym ktoś podniósł się, chwycił go za nogi i jęknął:

— Bracie, ukróć męki!... Podaj karabin... dowlec się nie mogę do niego... Boże! Bo-o-że!!

Stach zachwiał się, przez mgłę zobaczył wykrzywione ohydnym bolem, żebrzące oczy, ostatkiem sił uskoczył na bok i zaczął pędzić, aż go dopiero Jan chwycił za rękę.

— Nie goń, tratujesz tych, którzy się jeszcze męczą.

Chciał mówić spokojnie, a głos mu się łamał.

Za nimi leciał rozpaczliwy jęk:

— Boże, Bo-że-e!

— Jeszcze tylko kilkadziesiąt kroków— szeptał Jan.

— Dobrze, dobrze; tylko prędzej!

Głos gonił ich ciągle, przechodząc w rozdzierające łkanie, które niosło się daleko po polu:

— Oooch...

Po chwili Stach zaczął mówić, chcąc zagłuszyć ten jęk daleki, szybko; bez związku, jakby do siebie:

— Słuszne... sił nie miałem... Dlaczego ich... trzeba było przecież... można było zabrać...

— Zapomniałeś co się działo. Garstka nasza zrobiła swoje: zatrzymała jak długo mogła, do ostatniego prawie legjonisty.

— A jednak...

— Daj pokój.

I nagle, jakby w nim złość zbierała, odezwał się:

— Cóż znowu zaczynasz. Nie wiesz z czym idziesz?

— Wiem, wiem, wiem — bełkotał Stach — tylko, widzisz...

— Ocknij się do djabła. Dobrze cię wybrali! Zacznij się tu jeszcze bezpotrzebnie litować i wleź w paszczę moskali.

— Ja już nic...

— Nie wiedziałem, że właśnie ty, tak mało panujesz nad sobą. Akurat jest czas na nerwy! — innym już głosem mówił Jan.

Wydostali się z pobojowiska i po przebyciu pola, weszli w las.

Młodszy przyszedł już zupełnie do siebie, mokre tylko oczy szkliły się, jak łzami.

Uszli kilkaset kroków i gdy już zupełnie zakryły ich pnie drzew od pobojowiska, wyciągnęli mapę. Błysło maleńkie światełko lampki elektrycznej.

— Teraz na północ lasem, aż do drogi polnej, którą już prosto. Jest godzina piąta. Na dziesiątą dobrym marszem staniemy. Najwyższy czas! Po drodze nie natkniemy się na nikogo. Ostatnia garstka naszych na świetnej placówce, nie dając poznać swych małych sił, zatrzyma ich, jeśli spróbują w no-

cy atakować, do rana. Przez ten czas... Niema chwili do stracenia! Od tego zależy, kiedy przyjdziemy. Oprzytomniałeś?

— Idziemy.

— Nogę obwiązałeś?

— Nic mi już nie jest; przestała zaraz krwawić, to tylko draśnięcie.

— Papiery masz?

— Wszystkie.

Puścili się szybkim krokiem.

Śnieg, leżący tu obficie, lekko przymarzły w wieczornym chłodzie, chrupał pod ciężkimi, niezgrabnymi butami.

Cisza była wielka. Czasem tylko, z bardzo daleka niósł się od strony pobojowiska pogłos jęku, wtedy jeszcze bardziej przyspieszali kroku, Stach umyślnie zawadzał szablą o krze, a te trącone, sypały z siebie ze szklanym szelestem niepokalany puch, lub też niepotrzebnie chrząkał, jakby mu coś zawadzało w gardle. Szedł za nim nieustannie ten widok dźwigającego się ślimaczo nędznego ciała, brzmiała mu w uszach ta straszna prośba, której nie mógł przecież spełnić. Do tego

obrazu przyłączyły się inne, całe rojowisko wspomnień, które ukazywały coraz świeższe, coraz boleśniejsze rany. Młode jego, dziewiętnastoletnie serce objęła boleść, za tyle sił, za tyle dusz, które tam teraz, jak łachmany, walają się po polu...

A potym zjawiło się widzenie ostatniego ataku...

Rozkaz rzucony. Gnają przed siebie, machinalnie padając na ziemię, uchylają głowy od świszczących granatów, porywają się... krwią nabiegła para przesłania oczy, szał ogarnia czaszkę, w której tłucze się wściekle jakieś nieokreślone, dzikie pragnienie mordu, wyciem zwierzęcym rozszerzające, kłapiące szczęki. Nic to, że raz wraz ktoś się okręci w sobie, zaszczeka prawie z bolu i runie na ziemię, chluśnie ze sąsiada krew na twarz i ręce, nie odczuwa się tego, nie rozumie, nie zdaje sprawy, cały mózg wszedł w oczy, które już widzą niedaleki cel, w muskuły rąk, zaciskających wściekle karabin ze lśniącym bagnetem, śmiejącym się jakby do blizkiej, rozkosznej kąpieli w ciepłej krwi,

w nogi odskakujące same od ziemi, ciapiącej posoką. Już blisko... kilkanaście jeszcze kroków... słychać oddech i łopotanie ich serc, w które za chwilę wpakują się bagnety... Na czele swego oddziału, jak ze stadem wygłodniałych wilków, dopada ich...

Stach zapomina o wszystkim, co przed chwilą widział, żołnierska duma, że to oni, unosi go i prawie głośno mruczy:

— W trzy minuty wzięliśmy...

— Mówisz co? — zapytał Jan.

— Nic, tylko... Ach Janie! żeby nas dziś tak więcej i choćby dwie armaty. Te, któreśmy wzięli, rozwalone — zresztą wszystką amunicję szelmy wypukali na nas.

— Ha no...

— Jak myślisz, długo się utrzymają?

— Wątpię.

— Więc po co my?...

Nie twoja rzecz pytać! Taki rozkaz, o papierach zapomniałeś?

— Wolałbym w takim razie zaraz, tam z nimi... Przecież stamtąd może nikt nie wyjść.

— Przestań! — warknął Jan — czekaj, zmyliliśmy drogę. Na prawo!

Szli już teraz nic nie mówiąc do siebie.

Mijali szybko pnie, które tworzyły coraz gęstszą ścianę i rwali zbitym, głuchym lasem. Przeszło tak z dwie godziny. Wreszcie Jan zobaczył, że towarzysz zostaje coraz bardziej w tyle. Widać było, że z trudem tylko powstrzymuje się od kulenia.

— Noga, co?

— Przejdzie — rozchodzę się.

— Akuratnie! Poczekaj.

Lampka skierowana na nogę Stacha zajaśniała ostrym promieniem.

— Ładna historja! krwawisz, jak zając.

— Przyschnie.

— Tak jest, na zawołanie! Zdejm but i owiń. No!

Z zsuniętego z trudem buta wyciekła pasemkiem krew.

— Nie czułeś przedtym, czy co, u djabła?!

— Nie, naprawdę.

W dodatku goła noga w bucie. Pocze-

kaj — zaczął miększym nagle głosem — weź to i owiń.

Rozpiął bluzę, wydarł kawał rozlatującej się już w strzępy koszuli.

— Bój się Boga, taki skarb jak koszula, drze sobie jak papier — pół żartem, a pół z rzeczywistym strachem, jęknął Stach.

— Owijaj!

Ledwo wsunął but z powrotem.

Jan popatrzył na kompas.

—Teraz ciągle prosto. Lepiej ci?

—Doskonale.

W godzinę potym wydostali się z lasu.

Wychynęli ostrożnie na polną drogę, na której było pusto. Z boku leżała spalona wieś. Z resztek chałup zwieszały się strzępy strzech, pozrywanych granatami, gdzieniegdzie wśród kupy rumowiska sterczały okopcone kominy, niby ręce, wyciągające się do nieba, jak wyrzut sumienia ludzkości. Obok nich trzęsły się opalone pręty poczciwej wierzbiny; podrywał je wicher, z suchym chrzęstem wyginając je na wszystkie strony i bijąc nimi o rozpruty pociskiem pień, z którego

wnętrza sypało się próchno. Kawałek dalej trupy drzew spalonego sadu chwiały się żałośnie, wydając syk jakiś i trzask głuchy, który ponosił wiatr i pędził go dalej, strasząc zabłąkanego psa, co podkuliwszy ogon, obchodził pogorzelisko, szukając kogoś bezradnie. Na widok ludzi pies odskoczył, po chwili jednak wrócił się, przybliżył, cicho skomląc, wystraszonymi ślepiami zdawał się pytać czegoś i prosić, nie ustępując z drogi. Jan rzucił mu odłamek znalezionego w kieszeni chleba. Pies porwał go i zniknął w cieniu spalonego sadu. Ostra woń spalenizny wwiercała się w nos, gardło i oczy. Przecierał je Stach, bacząc pilnie na spalone belki, z pomiędzy których z trudem tylko wyciągał bolącą nogę, chcąc się zrównać z Janem. Ten mruczał coś pod nosem.

— Mówisz co do mnie, Jan?

— Nic — tylko ta wieś... przecież tu bitwy żadnej nie było.

— Może sama...

— A jakże! Tak dokumentnie palą tylko oni! Łotry!!

Szli dalej, nie mówiąc nic do siebie. Przeszli wieś, jakieś puste pastwisko i wydostali się na szeroki gościniec. Maszerowali szybkim krokiem przeszło godzinę, a jeszcze ciągle nie widać było oznaczonego miejsca.

Jan patrzył z niepokojem na wlokącego się widocznie ostatkiem sił Stacha, który, jak mógł, nadrabiał miną. W tyle za nimi zaturkotało coś. W jednej chwili uskoczyli w bok i przypadli do ziemi. Ręce machinalnie sięgnęły do rewolwerów. Po kilku minutach spostrzegli furę, na której siedział tylko chłop.

Zerwali się, zagrodzili mu drogę.

— Stać!

Konie szarpnęły się i zaryły w ziemię.

— A co tam — zaburczał spokojny głos woźnicy.

— Nie bójcie się — swoi.

— Ja się tam nie bojam.

— To droga do Jarek?

— A tak.

— Daleko?

— Trzy mile.

Jan niespokojnie oglądnął się na Stacha.

— A wy dokąd?

— Tam właśnie.

— To panią Rokicką znacie?

— W służbiem u niej.

— Podwieziecie nas?

— Cobym nie miał podwieźć.

Weszli na furę.

— Zapłacimy, tylko gońcie, jak najprędzej!

— Ja ta nie fiakier, żebym brał pieniądze. Nie moje konie. A panowie do państwa Rokickich? — zapytał, zacinając konie, które ruszyły z kopyta.

— Zobaczysz.

— Wio!

— Moskale byli u was?

— Były ścierwy tydzień temu, ale ich wygnały nasze legjonisty. Był wtedy akurat między naszymi pan.

— Rokicki?

— A ino, tak się trafiło, że prowadził ich tymi okolicami.

— No, a potym?

— A no nic. Potym był znowu patrol kozacki, nakradł nam zboża i siana i w nogi. Pieskie syny!

— Pani nie wyjeżdżała?

— Pani?! — Powiedział to takim głosem, jakby się dziwił, iż można podobne pytania zadawać. Odwrócił się, przypatrzył bliżej Janowi, w oczach łysnęło na chwilę coś, jak cień podejrzenia.

— Jest kto we dworze?

— Wio!

Jan powtórzył pytanie.

— Ja tam do izbów nie zaglądam — odpowiedział pod nosem, poprawiając końcem biczyska wysunięte z pod czapki, siwe kosmyki włosów.

Jan wszystko zrozumiał.

Milczeli długą chwilę.

Cierpki ból nogi wprawiał Stacha w nastrój półsennej gorączki. Drzemał, odbijając się od boków trzęsącego wozu.

Jan pilnie rozglądał się po okolicy.

Dojeżdżali do wsi, o czym świadczyły

stojące tu i ówdzie chałupy, w śnie przykucnięte do ziemi.

— Dwór jest na drugim końcu wsi? — zagadnął Jan.

— Widać, pan już sami wiedzą.

— Słuchajcie ojciec — pewnym głosem zaczął Jan — jedziemy z bardzo ważną sprawą. Rozumiecie? Ludzie już wprawdzie śpią, nie chcemy jednak, żeby nas widzieli.

Woźnica zwolnił bieg i słuchał pilnie.

— Podjedźcie jeszcze kawałek i przeprowadźcie nas lub pokażcie drogę.

— Niech się pan nie boi. Tać przecie we dworze są nasi.

— A mówiliście, że nie widzieliście.

— No tak — chytrze się uśmiechając, cedził chłop — mówiłem, co nie miałem mówić.

— Nie byliście pewni?

— E, nie... Ale Bóg ta wie teraz.

— Nie zawadzi być ostrożnym. Chwali się wam.

— Głowę się ma nie od parady.

— Widać to, widać.

— Bóg zapłać.

— Więc mówicie, że są nasi? — wtrącił się przebudzony głosami i nagłym zwolnieniem pędu wozu, Stanisław.

— Poczekaj! — przerwał mu Jan. — Nie wiecie ilu?

— A ze stu.

— Dawno?

— Wczoraj skądsiś przyszli, strasznie zmordowani.

— Nie rozumiem — mruknął do siebie Jan.

— Co?

— Potym!

— Jechać pod dwór proszę panów?

— Tak.

— A panowie się bali, to jest — prędko się poprawił — nie chcieli. Z naszych chałup, pięćdziesięciu chłopców zabrał pan Rokicki— dodał z dumą.

— Za pięć minut będziemy...

Wjechali w wieś. Wzdłuż głównej drogi ciągnęły się chałupy, jedna przy drugiej, strzechami przytykając do siebie. Między

pochylonymi płotami przedzierał się wiatr, gwiżdżąc wśród prętów, gdzie daleko słychać było skrzyp zamykanej bramy. Pusto było i coraz ciemniej. Wóz podskakiwał na marznącej grudzie, echo turkotu leciało pod ściany chałup i odbijało się od nich, przenosząc się coraz dalej. Na skręcie, przy oświetlonej chacie, ktoś się wysunął z za węgła i zbliżył do drogi.

Woźnica zwolnił biegu. Postać, niby przypadkiem, zbliżyła się do wozu i zajrzała siedzącym na wozie w oczy. Jadący usłyszeli w przejeździe:

— To wy, Franciszku! A co tam?

— Zdrowo!...

Postać oddaliła się powoli za chałupę.

Jan z rozrzewnieniem popatrzył za nią.

— A tobie jak? — zwrócił się następnie do Stacha.

— Przecież mi nic nie jest. Trochę tej krwi w bucie...

— No, chwała Bogu, że spotkaliśmy tę zacną furę. Kto wie, czy byłbyś się dowlókł.

— Ja?!

— Nie udawaj! Słyszę, jak ciągle syczysz.

— Bo mnie but rozpiekł, gdybym był szedł, nie czułbym nawet.

— We dworze musisz się z tym zaraz oporządzić.

— Naturalnie.

— A na drugi raz nie wyrywać się, jak się jest przetrąconym!

— Przecież nie czułem. Żeby mnie tak kula trafiła!

— Stało się według życzenia jegomości, bo z pewnością siedzi w gnacie.

— Doktor! — łagodnie burknął Stach.

— Żebyś wiedział! Myślisz może, że będzie czas...

— Nic nie myślę, daj spokój Jan, cudownie przecież wymknęliśmy się i dziś po północy z powrotem.

Fura zatrzymała się przed starym, rozsiadłym wygodnie na dużej przestrzeni dworem.

Brama wjazdowa była zamknięta.

Woźnica zsunął się z kozła i widząc, że

Stach powoli się gramoli, zaczął mu pomagać.

— Noga boli? — pytał troskliwie.

— Ścierpła.

— Jakoś dziwnie.

— Co?

— A no, bo bez but krew ciurka.

— Błoto.

— Takie ono błoto serdeczne wszędy teraz po naszych polach — niby do siebie szepnął poczciwiec, znosząc prawie Stacha z wozu.

Weszli na dziedziniec, pusty, ogromny. Na wielki krąg klombu, sięgającego pod ganek, wypadły psy. Uspokoił je głos woźnicy.

We dworze mimo głosu ludzi i psów, było cicho. Świeciło się tylko w dwu oknach bocznego skrzydła. Idącym zdawało się, że ten wielki, dostojnie rozsiadły dom, czuwa cały i starością przekrzywiony nasłuchuje jakichś wieści, płynących z daleka, które olbrzymie konary lip, wokół rosnących, podchwytują i zniżając się do szczytu dachu, mówią mu coś długo. Na pierwszy rzut oka po-

znać było, że to cisza pozorna, że tam, za tymi ścianami, jest utajone życie, nieprzerwana czujność, jakiś pilnie strzeżony, wiecznie trwający płomień, który w jednej chwili wybuchnąć może. Dalej tylko, w przybudówce, mieszczącej kuchnie czeladne, słychać było ruch i głosy.

Weszli na ganek. Stary otworzył drzwi i wprowadził ich do obszernej sieni. Siarniki, pocierane o spodnie, ani rusz zapalić się nie chciały.

Jan zaświecił latarkę elektryczną.

— Tu, na prawo.

Otoczyła ich ciemność wielkiej izby, słabo tylko rozświecona promieniem latarki.

— Pani tu niema. Niech panowie chwileczkę zaczekają. Zaraz światło.

Zmarznięte ręce z trudem zapaliły lampę.

Widać było, że stary wiedział, iż nikogo tu nie zastanie, i, że umyślnie ich tu wprowadził. Musiał mieć tak z góry nakazane.

— Zawołam panią.

— Dobrze.

Rozejrzeli się po pokoju.

Obszerny, o czterech oknach, urządzony ciężkimi, w spadku odziedziczonymi meblami, z konterfektami na ścianach, o wybladłych już barwach, z jakąś dużą serwantką w jednym rogu, był widocznie rodzajem salonu i pracowni. Mówiło o tym duże biuro, umieszczone między dwoma oknami i potężna szafa ksiąg, przyparta obok do ściany. Między tą szafą a początkiem następnej ściany widniało zielonym suknem obite miejsce, pełne gwoździ: dawniej wisiała tam broń, pewnie zbierana jeszcze przez pradziadów. Został tylko olbrzymi róg, używany niegdyś na łowach, a nad nim, wysoko, poczerniały ryngraf z wizerunkiem Częstochowskiej, pod którym w dole ustawiono na ziemi duży klęcznik.

Ciepło izby i ten jakiś specjalny, nigdzie nie znany nastrój dworu polskiego, pachnącego lewandą, zbożem i aromatem bierwion modrzewiowych, podziałał i na przybyłych. Nie usiedli jeszcze nawet, z jakimś szacunkiem i błogością rozglądając się wokoło.

Cisza panowała w wielkim domu. Za oknem tylko szumiały stuletnie drzewa parku, rozkołysanego wiatrem, który widocznie zrywał się coraz silniejszy. Ciszę tę nagle przerwał donośny, wesoły dźwięk szafkowego zegara, wydzwaniającego dziewiątą godzinę.

Dźwięk ten rozbudził Jana. Otrząsnął się, jakby z widzeń, które na chwilę go opadły i rzekł już pewnym głosem:

— Już po dziewiątej. Gdziebyśmy to jeszcze piechotą byli!

— Szczęśliwy traf, żeśmy tę furę...— zaczął słabym jakimś głosem Stach.

— A ty co?

— No?

— Popatrz się! Zataplałeś całą podłogę na czerwono!

— Rzeczywiście.

— A rzeczywiście, rzeczywiście! — mówi tak, jakby, Bóg wie, co dobrego zrobił. Zleźże przynajmniej z tego kobierca. Ładna szkoda. Włazi po raz pierwszy do cudzego

domu i niszczy jak, jak... niech już nie powiem!

Umyślnie fukał i podnosił głos, chcąc nie dać poznać po sobie, że rana przyjaciela nie mniej go troska.

Stach stał bezradny, zakłopotany, blady z widocznego bolu, który go teraz zaczynał rozbierać.

— Gdzie to? — łagodniejszym głosem zapytał Jan, schylając się nad Stachem.

— Sam dobrze nie wiem.

— Boli cię bardzo.

— E, nie.

— Ty znowu swoje! a wyglądasz jak cielę przed zarżnięciem. Siadaj przynajmniej. Zaraz to trzeba będzie...

Drzwi się otwarły, wszedł woźnica.

— Pani prosi panów.

— Zaraz. Ty zostaniesz, tak jest, daj papiery, iść przecież nie możesz! Trzeba mu pomódz, opatrzyć nogę — zwrócił się do woźnicy.

Stach machinalnie usiadł. Z pod kurtki na piersiach wyjął mały zwitek papieru i po-

dał Janowi, który z coraz większą troską patrzył na niego.

—Którędy się idzie?

— Proszę pana.

Za chwilę stary wrócił i ostrożnie, troskliwie zabrał się do ściągania buta z nogi Stacha.

— A tam konie na dworze. Musisz pójść, obywatelu.

— Już pewno dawno w stajni. Zaprowadzili je.

— Nikogo przecie nie było!

— A no tak, niby — uśmiechając się przebiegle mówił woźnica — jakoś się tam zawsze ktoś najdzie. Ale to krwawi! Kula co? tylko czy szelma wylazła? Zaraz, jest tu pana apteka.

Podreptał do jakiejś szafy, przyniósł watę i bandaż.

Otarł krew i zaczął bandażować. Zaraz widać było, że nie pierwszy raz to robi. Kręcił przytym głową i wzdychał, mrucząc coś do siebie:

— Rozjechało porządnie... bodajby wi-

siał hycel jeden... Siedzi pod kością... Z taką nogą to do łóżka... Musi boleć...

— Myli się obywatel.

— Taki ja obywatel, jak ten psubrat, który pana ustrzelił, biskupem — odpowiedział Franciszek po prostu.

Stach chciał coś powiedzieć, kiwnął tylko głową i zamilknął. Bandażowanie bolało go bardzo. Ból dopiero teraz przyszedł.

— Jakże pana z taką nogą puścili?

— Nie czułem, zdawało mi się początkowo, iż to otarcie. A Franciszek to tak jak doktor...

— Ha, no, przyuczyło się teraz krzynę.

— Praktyka jest? — żartem zapytał Stach, uśmiechem pokrywając skrzywienie ust pod wpływem nieznośnego bolu.

— Dosyć było. Tamtego tygodnia... Niech pan podniesie wyżej nogę, tak... Tamtego tygodnia przywieźli z za tego lasu, com panów spotkał, szesnastu. Wszystkich się opatrzyło. Dwu jeszcze u mnie w chałupie leży... Pani sama składała rękę, co ją kolbą przetrącili.

— Mówiliście, że byli tu kozacy?

— A byli.

— Pani się nie zlękła?

— Nasza pani?! — ze zdumieniem prawie popatrzył się na Stacha. — Zresztą cała wieś jej pilnuje.

— Pani tu potrzeba! — mocnym, jakimś niezwykłym głosem, rzekł stary. Po chwili dodał:

— Był jeszcze starszy pan, ojciec pani. Umarł cztery dni temu.

Za oknami odezwał się cichy świst.

— Gotowe. Daleko jednak z taką nogą iść nie można.

Świst powtórzył się.

Zanim Stach miał czas podziękować, starego już nie było. Wyszedł jakimiś bocznymi drzwiami, zamknąwszy je za sobą na klucz.

Został sam.

W wielkim pokoju zapanowała znowu cisza, w kominie wielkiego pieca tylko szumiał wiatr, szafkowy zegar równo, jednako-

wo stukał, jakby ktoś za ścianą przechadzał się długimi krokami. Za oknami jęczała nagle przygnana śnieżyca, mokrymi płatkami bijąc w szyby i spływając po nich wśród strug łez. Czasem uderzył w nie pręt blisko rosnącego drzewa, rozkołysany na wietrze, szyba wtedy zcicha brzęczała, szklanym płaczem napełniając wnętrze. Gdzieś na dachu jakiegoś budynku skwirczała żelazna chorągiewka; żałosny jej pisk aż tu dochodził.

Głosy te i ciepło, idące z wielkiego pieca, dziwnym jakimś, dawno nie znanym spokojem, objęły Stacha. Nie czuł już prawie rany, niemal że zapomniał, po co tu przybył i skąd się wziął; siedział w wygodnym fotelu, patrzał w jakiś stary portret, nie wiedzieć czego chcąc się w nim dopatrzeć, tak, że od tego patrzenia oczy mu się same przymykały. Dźwigał je z coraz większym trudem, czując, że cięższe się stają, głowy utrzymać nie mógł, coraz słabiej panował nad rękami, nogami, całym ciałem, w które właziło nieznane już dawno ciepło, rozkosznie ubezwładniające, łagodzące nawet to szarpanie w no-

dze, idące wzdłuż całego ciała. Zeschłe, spalone usta mimowoli poczęły liczyć chód zegara — wreszcie i ten przestał iść, nie było już szumu za oknami, nic, tylko coraz słodsze ciepło...

— Gdzie ten Jan... szepnął jeszcze, jakby sobie coś przypominając — nie dokończył jednak, osunął się w sobie, skulił, głowa opadła na miękką poręcz fotelu. Po chwili drgnął nagle, ból w nodze szarpnął nim, nie zdołał go jednak rozbudzić.

W nikłym kręgu lampy ta pomięta bezwładna postać, na której zmęczenie i trudy bezmierne kamieniem osiadły, z rewolwerem za pasem i długą szablą, zwisającą, również jakby we śnie po ciężkiej robocie, w tym pokoju wśród portretów, zdających się z miłością spoglądać na nią, wyglądała jak tajemnicza zjawa czegoś, co już było, co przeżyli ci, patrzący ze ścian, a co raz jeszcze wskrzesło, przyszło na chwilę do tej izby, pamiętającej wiele podobnych postaci, włóczących się dziś wspomnieniem po wszystkich kątach starego domu, przyszło i odejdzie,

ślad swej krwi serdecznej zostawiwszy po sobie...

Za oknami tymczasem wzmagał się wicher, drzewa w ogrodzie jęczały coraz głośniej, czasem trzasło w starej ścianie, w kominie tłukło się coś z piskiem.

Rozległy się jakieś kroki. Zaskrzypiały drzwi — do pokoju weszła wysoka, czarno ubrana kobieta, za nią Jan. Kończyli jeszcze jakąś pospieszną rozmowę przyciszonym głosem. Na widok śpiącego Stacha mimowoli się zatrzymali. Potym Jan wysunął się naprzód, stanął przed fotelem.

— Niech go pan nie budzi.

— Można mówić głośno. Z takiego snu nie obudzi nawet wystrzał armatni nad uchem. Zdaje się, że ma nawet i gorączkę. Wielki upływ krwi. A początkowo szedł tak dobrze. Nie wiem co teraz z nim zrobić?

— Zostanie tu.

— Mówiła pani...

— Proszę być spokojnym. Nie on pierwszy! Na razie zresztą spokój.

— Woźnica?

— Czeka na ganku.

— Więc odeszli dziś!

— W południe. W stronę Rodzowej.

— Nie można było dostać się prędzej. Sytuacja w ostatniej chwili się zmieniła. Zwaliły się na nas takie masy. I tak wytrzymało się ich dłużej, niż to przypuszczali. To zostawiam pani: papiery, o których mówiłem i adresy.

Podał jej jakiś rulon.

Pani Rokicka odebrała go i silnie, mimowoli przycisnęła do piersi:

— Dziś jeszcze w nocy odejdą.

— Liczę na to. My tam, ustępując powoli, zatrzymamy ich w tej okolicy jakie półtora dni. Od pośpiechu teraz wszystko zależy. Jak to tam daleko?

— Na przełaj przeszło ośm mil.

— Aż tyle!

— Franciszek najlepszego konia zdołał ukryć!

Za oknem coś się jakby poruszyło. Pani Rokicka wpatrzyła się w nie, rękę z papierami opuszczając poza krawędź stołu.

— Wichura — szepnęła po chwili.

— Ciemno. I to tak nagle, bo szliśmy prawie przy księżycu. Chwała Bogu. A z nim — wskazał głową na Stacha — to...

— Wiem. Jutro z nogą zrobi się porządek, a potym zobaczymy.

— Ośm mil — mówił coś pod nosem Jan — Zawiezie to kto?

— Jeden z moich ludzi. Nie pierwszy mu to raz. Jutro rano będzie wszystko na miejscu! — jakimś stanowczym głosem dodała.

— Wracam spokojny — rzekł Jan, wyciągając rękę.

Uścisnął silnie drobną dłoń pani Rokickiej, w niemej podzięce, podaniem tej ręki przelewając jakby na nią rozstrzygnięcie losu tych, do których wracał.

Zrozumiała i skłoniła głowę.

Jan popatrzył na śpiącego Stacha z lekkim zaniepokojeniem i jakąś serdeczną troskliwością, zerknął na swój rewolwer za pasem i zwrócił się do drzwi.

— Zapomniał pan o tym. Nie było czasu na kolację, więc chociaż to.

Podała mu jakieś zawiniątko.

— A, tren? Nie zawadzi. Dziękuję! — uśmiechnął się, chowając zawiniątko do kieszeni.

Wyszli drzwiami wprost na ganek. Czekał już ktoś na nim, bo słychać było zaraz głos, który odpowiadał pani Rokickiej na jej pytanie.

Stach spał dalej. Widać było, że gorączka i ból nogi męczyły go, bo twarz krzywiła mu się, latały po niej drgania i skurcze, oddech stawał się coraz bardziej prędki, niespokojny. Śpiący rzucił się czasem w fotelu, wtedy rozlegał się ostry brzęk szabli, napełniający izbę przenikliwym głosem, roztłukującym się po kątach, w których zamierał, dzwoniąc jeszcze cicho w szparach i pęknięciach wiekowych ścian.

Upłynęło prawie pół godziny.

Drzwi otwarły się znowu. Cicho, ostrożnie, weszła pani Rokicka. Miała właśnie przejść do drugiego pokoju, gdy wtym usu-

wająca się głowa Stacha uderzyła się o róg fotelu, całe ciało chybnęło się na bok. Pani Rokicka podbiegła i przytrzymała upadającego. Stach otworzył oczy. Widać, nie zdawał sobie sprawy gdzie jest i co się stało, bo patrzył nieprzytomnie na panią Rokicką i szeptał: "Daj pokój, Jan". Oczy zaczęły mu się rozszerzać, drgać, przetarł je, podniósł jeszcze wyżej powieki i chciał raptem powstać. Na jego ramieniu spoczęła łagodnie drobna dłoń, postać kobieca zagrodziła mu drogę.

—Niech pan nie wstaje — usłyszał — proszę wygodnie usiąść. Wiem, ranny pan jest w nogę.

Powoli przychodził do siebie. Dobry, ciepły głos szeptał dalej:

— Rokicka. Ależ niech pan nie wstaje! Co za ceremonje. Nawet nie potrafiłby pan szarmancko się ukłonić — żartowała — bo noga. Towarzysz pana wszystko już powiedział. O, widzi pan, nie słucha, a unieść się nawet nie może.

— To Jan...

— Mówił ze mną. Oddał mi przyjaciela w opiekę.

— Nic mi nie jest... przestanie... fraszka. A Jana niema? Pani daruje, że...

— Nie daruję, jeżeli pan będzie próbował wstawać.

— Trzeba zacząć, później już jakoś pójdzie.

— A tak, później, za kilka dni. Tak, tak, niech się pan nie dziwi.

Pani Rokicka opowiedziała mu, co zaszło w czasie jego snu.

Stach prawie się przeraził.

— Ależ ja muszę!...

— Tak jest, pozostać.

— To niepodobna! Cóż znowu ten Jan?!

— Proszę tylko rozmyśleć rozsądnie całą rzecz.

Przysunęła naprzeciw niego krzesełko, usiadła i dobrym, dawno nie słyszanym przez Stacha głosem, mówiła z troskliwością patrząc na niego długo, serdecznie, strofując go czasem, jak dziecko.

— Widzi pan, przekonałam.

— No tak, ale...

— Wiem, rozumiem dobrze! Tak jednak będzie lepiej. Za chwilę przyniosę herbatę, a potym weźmiemy się do nogi. Bandaż musiał Franciszek dobrze założyć?

— Majster!

— Potrafi to doskonale. Tylko tu coś wychodzi, za grubo obwiązał.

Pochyliła mu się do kolan i drobnymi, białymi rękami zaczęła delikatnie, ostrożnie poprawiać za zabłoconą, śmierdzącą krwią i niechlujstwem cholewą wystający za wysoko bandaż. Nie bronił się. Coś nieokreślonego z nim się działo. Zmęczenie, ból, przejścia przemieniły się pod wpływem tych cudnych rąk, nie brzydzących się rozlazłego, wstrętnego buta, w jakieś rozrzewnienie, hamujące każde słowo, zbyteczne na podziękę. Schylił się tylko trochę i z czcią najgłębszą ucałował spieczonymi gorączką ustami te dobre, czyste ręce.

— Cóż pan? Za co? No, no... będzie to jakoś. Tylko trzeba słuchać! O, i mała gorączka jest! Zaradzi się na wszystko, zaradzi.

Stach milczał. Na chwilę przesunęła mu się przez pamięć postać dawno zmarłej matki, której pieszczot nawet nie pamiętał.

Nagle zadudniło coś za drzwiami, które otwarły się z trzaskiem i do pokoju wpadł czteroletni, jasny chłopczyk, za nim służąca.

Pani Rokicka podniosła się.

—Co to, Jerzyk jeszcze nie śpi?

— Nie chciał położyć się — usprawiedliwiała się służąca — bo mu, jak mówi, mamusia nie powiedziała dobranoc.

Chłopczyk na widok nieznajomego przystanął zafrasowany, potym pilnie oglądając szablę Stacha, podszedł do matki.

— Synuś pójdzie zaraz spać.

— Za chwileczkę — szeptał, nie odrywając oczu od szabli Stacha — ja zaraz, tylko jeszcze chwileczkę.

— Dobrze. Niech Anna pójdzie tymczasem popatrzeć co tam z samowarem. Tu przynieść.

Jerzyk pochylił się nad matką. Stach usłyszał, jak jej szepnął do ucha:

— To tak, jak nasz tatuś?

— Tak, tak, synuniu. Opowiem ci potym.

Stach wyciągnął do malca rękę. Ten zbliżył się już śmiało, szurgnął nóżkami. Potym zaraz zabrał się do majstrowania koło szabli Stacha.

— A to tak się otwiera? Ja wiem.

— Zostaw Jerzyk!

— Niech pani pozwoli. A ty skąd wiesz?

— Przecież mój tatuś...

Nie dokończył zdania, kiedy w sieni wszczął się huk pędzących nóg. Drzwi gwałtownie się otwarły. Wpadł mały chłopiec i jednym tchem wyrzucił:

— Kozacy!!

Słowo to uderzyło o ściany, jak trzask padającego pocisku i na moment, odbiwszy się od nich, zawisło w powietrzu, które stało się tak ciężkie, iż w pierwszej chwili zaparło oddech w piersiach. Trwało to jednak bardzo krótko. Pani Rokicka przybiegła do fotelu, chcąc pomódz wstać Stachowi. Ten już jednak zerwał się. Zachwiał się w pierwszej chwili, potym, jakby mu nagle sił przybyło,

wyprostował się, ręką sięgnął do rewolweru, drugą podtrzymywał plątającą się u nóg szablę. Pani Rokicka otworzyła drzwi, wołając:

— W ogród! Na prawo od stawu, trzecia chałupa!

Stach wypadł przez werandę, ledwie już znowu mogąc utrzymać się na nogach. Patrzyła za nim pani Rokicka z troską bezmierną, widziała, jak się słaniał, oczy zaszkliły się jej rosą bezradnego bólu... Potym, nie zważając, iż Jerzyk sam zostaje, szybko, jak tylko mogła, otworzyła boczne drzwi i zniknęła za nimi.

Wszystko to trwało kilka sekund, tak, że dzieciak nie zdołał zrozumieć, co się właściwie dzieje. Stał przed pustym, dużym fotelem, dziwiąc się, że ten, z którym przed chwilą jeszcze rozmawiał, tak nagle, gwałtownie i dziwnie zniknął, nie pożegnawszy się ani z nim, ani z mamą. I ona gdzieś poszła, po raz pierwszy pozostawiwszy go samym w tym dużym pokoju. Maleńka buzia zaczęła się krzywić, wydłużać, usta trząść się, różowe piąstki podniosły się do oczu. Bał

się nawet już nie zapłakać głośno, ale choćby ruszyć się z miejsca, w którym go trzymało coś, o czym strasznie, równo, spokojnie mówił wielki zegar w kącie, a z czego śmiał się wiatr w kominie wygasającego pieca. Prawda... coś o tym Józek krzyknął, co już raz słyszał... Zaraz to przyjdzie i porwie go, wywlecze do ciemnego ogrodu, za te duże drzewa, zaglądające do pokoju, czy z niego nie uciekł. O! już idzie...—straszy go zegar, a on nie może uciekać...

Malec zakrył oczy i rzucił się na fotel z głośnym szlochaniem.

Ten krzyk dziecka w tej chwili o wiele był straszniejszy, niż to, co się przedtym rozległo.

Wtulone w głęboki fotel, drgało małe ciałko w coraz gwałtowniejszym płaczu. Krzyczał, chcąc zagłuszyć ten okropny głos starego zegara, który jakby już chodził po całej izbie, dookoła, zbliżał się do fotelu i jeszcze trochę, a uderzy tym błyszczącym, żółtym talerzem, lub spuści na głowę z łańcucha wielkie kule... Cieszy się z tego wiatr

w kominie i aż piszczy z radości, drzewa, to już pewnie, z ciekawości powłaziły przez szybę do środka, bo słychać, jak ktoś o nie uderza... Maleństwo wtula głowę w poduszki fotela i nie słyszy, że drzwi się otwierają, ktoś staje przy nim.

— Juruś! Synusiu! mamusia przy tobie. Musiała odejść... No już, już...

Odrywa się wreszcie od fotela, tuli do matki, łkając.

— Fe, taki duży chłopczyk!

— Bo, bo... ma-a-musia i na-awet Hania...

— Już, już... Trzeba się uspokoić. Wstydź się! cztery lata to skończyło a takie... Już dobrze?

Naturalnie, że w jednej chwili jest dobrze. Łzy zaraz obsychają, trzęsie się jeszcze trochę, ale już wszystko przeszło.

— A ten pan?

— Nie wolno nikomu mówić, że tu taki pan był! Jeśli mamusię i tatusia kochasz, to ani słowa! Rozumie Jerzyk?

Nie bardzo rozumie, ale kiwa solennie główką.

Pani Rokicka przybladła trochę, jest jednak spokojna. Głosem równym mówi do wchodzącej właśnie piastunki:

— Herbatę proszę tu podać.

— Dobrze — szepce służąca.

— Stanisław gdzie?

— W czeladnej. Pan ekonom kazał powiedzieć...

— Wiem.

Po chwili przynoszą samowar. Jak zwykle. Nic na oko się nie zmieniło, tylko spokój jest jakiś większy, inny.

Pani Rokicka opowiadała właśnie coś Jerzykowi, gdy z daleka padł krótki strzał, potym drugi, trzeci, czwarty, piąty w nierównych odstępach.

Przerwała opowiadanie. Tych pięć strzałów jakby ugodziły ją w serce. Wiedziała już o wszystkim...

Malec nie dziwił się, że przerwano opowiadanie, bo właśnie, nie zważając na słowa

matki, zapatrzył się w parę, która śmiesznie skręcała się pod kominkiem samowara.

Przeszła długa chwila.

Na podwórzu buchnęły echa kopyt końskich, głosy jakieś, potym na ganku, tuż pod drzwiami.

Pani Rokicka spokojnie, obojętnie zajęła się nalewaniem drugiej filiżanki herbaty.

Ktoś wypchnął drzwi.

Stanęło w nich kilka postaci w szynelach, a wśród nich stary, poczciwy ekonom, Żelazki.

Do stołu podszedł słuszny, barczysty oficer.

— Wyście Rokicka?—z rosyjska po polsku zapytał.

— Tak jest — brzmiała spokojna odpowiedź.

Wyniosła, piękna postać kobieca i ten jej głos, zniewalały do mimowolnego szacunku.

— A tak, my tu z interesem — przemówił innym już głosem.

— Proszę.

— Sołdatom i koniom trzeba jeść.

— Mój zarządca, pan Żelazki, da panom co potrzeba.

— Izwolicie pani usiąść?

— Proszę.

Odwrócił się do przybyłych, rzekł coś do nich. Wyszli razem z Żelazkim, którego popchnęli przed sobą. Został przy drzwiach jeden tylko, olbrzymi chłop.

— A wy pani, to tak sobie wojny ani nie odczuwacie. Siedzicie spokojnie, czaj pijecie. Może i mnie szklankę?

— Owszem.

Podsunęła mu filiżankę i talerz z zimnym mięsem.

— Merci! Zimno, śnieg pada... To wasz synek? — wskazał na Jerzyka, który bez obawy przypatrywał się jego guzikom.

— Tak jest.

— A pani tak sama?

— Dobrzy ludzie są ze mną.

— Zawsze teraz niebezpieczno — mówił popijając herbatę i siląc się na obojętność. Musiał to mąż pójść do tych awanturników?

— ??

— Tak, tak! Wszystko się wie. Swoją drogą, dobre z nich sołdaty, ho, ho, dobre. Udałyje maładcy. Nie prawda Iwan? — odwrócił się ku drzwiom.

— Toczno tak, wasze błagorodje — zahuczał głos.

— Ten, który tu był przed chwilą u pani, — rzucił niby od niechcenia, — nie dał się wziąć żywcem. Pięć razy wystrzelił, zasiekł mi dwuch chłopów, choć kulał. Ledwie żywego z pod szabel moich maładców wydobyłem. Ale żyje, silna sztuka! No nie, Iwan?

— Nieużeli on nie pamrjot, wasze błagorodje?

— Małczat! Nie mieszaj! Tiebie skazano, nie mieszaj!

— Słuszajus!

— Nu i po co uciekał? Nicby mu się nie było stało. Lepiejby mu było z nami. Mamy kilku u nas, siedzą sobie spokojnie i z naszymi zatrogiwajut oczeń wysokije waprosy i liebieralniczajut Bog wiestj, kak atkrawien-

no! Liberalizują, dyskutują — poprawił się po polsku. — Pani po rosyjsku nie umie?

— Nie.

— A ja po polsku znam. Służył kilka lat w Warszawie, piękne miasto. A socjalistów w nim, więcej jak policji, Bóg wiestj. A taki nie widział ani jednego. Dobry macie czaj... To od nas, z Rosji pewno?

— Nie wiem.

— To on... to on... — jęczało w myślach Rokickiej. Pięć strzałów... Nie mógł, bo noga... Kilka minut wcześniej!... Ale jak to się stało?... Stanisław przecież obchodził dwór... Którędy?..

— A długo on tu był? — przerwał oficer.

— Kto?

— Ot — pani udaje, że nie wie. Toćże ten legjonist...

— Nie długo.

— Charaszo-ss! A skąd on przyszedł?

— Nie wiem.

— Nu da, pewno, skąd można wiedzieć. Za herbatę merci.

— Proszę.

— Moje maładcy pewno też dostali jeść?
— Z pewnością. Czy jeszcze może co?
— Da, da. Pani chce odejść?
— Dziecko mi zasnęło.

Istotnie Jureczek usunął się na kanapę i w czasie rozmowy zasnął.

— Zaraz, niech pani zaczeka. Mam pilny interes. Po nocy to, ja nie zbój, przykro mi, ale kanieczno!

Pani Rokickiej twarz lekko drgnęła. Spokojnie jednak skierowała wzrok na oficera. Ten, jakby przygotowywał się do czegoś, ważył słowa, które miał wypowiedzieć, silił się na obojętność.

— Pani będzie mogła zaraz spokojnie iść spać. Nikomu nic złego się nie stanie. Czestnoje oficjerskie słowo.

— Spodziewam się, że mam do czynienia z prawdziwym żołnierzem, a nie z rabusiami.

— Nasze wojska umieją postępować po rycersku. A wy taki zawsze nie macie do nas ufności.

— Trudno.

— Ej łatwo, łatwo, tylko trzeba z sercem, otwarcie, a wy na nas, jak na wilki.

— Bo też...

— Wiem, wiem. Ale że tam jedna skatina ukradnie, podpali, trafi się wszędzie. Wieszamy takich. Bog wiestj.

Widoczne było, że przygotowuje się do czegoś. Pani Rokicka uspokoiła się zupełnie. Jej piękną, zacną twarz przyoblekła jakaś moc, z którą zmierzyć się, mimowoli bał się ten niby elegancki oficer. Onieśmielała go jej postać wyniosła, pewna, ten głos miękki, stanowczy, oczy, z których czytać było można niezłomną siłę woli, i hartowną, jak stal, duszę.

— Dziecko muszę ułożyć, zresztą już przecie...

— Zaraz, przepraszam, wyjść pani nie może.

— We własnym jestem przecież domu.

— Nu da, da, ale ja mam rozkaz. Służba nie salon.

Odwrócił się do stojącego jak struna

sołdata i coś mu szepnął. Ten oddalił się, słychać jednak było, że stanął tuż za drzwiami.

— Skończymy prędko — odezwał się niby uprzejmym, zmienionym jednak trochę głosem, oficer. — Potym odjedziemy z podzięką.

— Panowie tu nie nocują — obojętnie rzuciła pani Rokicka.

— Niet! gdzie tam nocowanie. Sałdaty tylko wypoczną. Pani jednak nie chcę fatygować. Zaraz.

Wyjął jakiś notes i niby zaczął w nim czegoś szukać.

Za oknami wichura nie ustawała. W głosach jej zdawało się pani Rokickiej, iż słyszy jeszcze echo tych pięciu strzałów, jak wołanie na ratunek, ostatni znak pożegnania i podzięki za tę chwilę ciszy i ciepła. Zapomniała nawet na moment o oficerach, kozakach, rabujących pewno gdzieś tam w szpichlerzach, o śpiącym dziecku, nasłuchując czegoś, o czym mówiło jej serce, żałące się nad jeszcze jednym młodym, zamarłym w męce życiu...

Ciszę pokoju przerywał tylko miarowy chód zegara.

Z podwórza zaczęły dochodzić głosy. Nagle gdzieś blisko rozległ się śpiew, nucony półgłosem. Jakiś żołnierz skracał sobie chwile nudnego czekania półsennym nuceniem, które zdaje się mimowoli, na wspomnienie czegoś, wybiegło na jego usta. Można było nawet zrozumieć pojedyńcze słowa:

"Bywało! bludjeczko wareńja
Ili kanfjekty jesz adin...

Powtórzył nutę gwizdaniem i kończył:

"Piosz końe dla abyknoweńja
Kak budto ważnyj gaspadin..."

Przeciągła arja mieszała się ze świstem wichru, wciskała się do izby i jakimś ponurym echem szeleściła po kątach.

Pani Rokickiej banalne słowa tej pieśni wydawały się w tym swoim spokoju szyderstwem z czegoś, co się przed niedawnym cza-

sem dokonało. Niepokój, mimo całej siły woli, zaczynał ją ogarniać.

— A co? Nasz sałdat nawet w ogniu śpiewa. Taki naród! — odezwał się oficer, zamykając notes, w którym nic nie znalazł.— Niech przestanie jednak buczyć, bo zbudzi dziecko.

Podszedł pod drzwi i półgłosem powiedział coś wartującemu tam, jak pies, żołnierzowi. Rozmowa jednak dłużej trwała, niż potrzeba na wydanie zakazu śpiewania.

Oficer powrócił do stołu.

— Powinna pani iść spać. Więc krótko poproszę: Oddajcie mi pani Rokicka ten dokumieńtik.

— Nie rozumiem!

— A no, ten, te papiery, które tu oba legjonisty przynieśli.

Patrzył jej prosto w oczy.

Przetrzymała ten wzrok spokojnie, choć czuła, że lekkie drżenie obejmuje jej nogi.

— Nic nie wiem o żadnych papierach.

— Jakto damy potrafią skłamać, par-

don, nie powiedzieć prawdy i ani im nie drgnie piękne oko.

— Nikt mi nie wręczył żadnych papierów.

— Rozumiem, pani nie chce, bo słowo honoru, przysięga, ale to nie obowiązuje. Wojna nie cerkiew — dorzucił sentencjonalnie.

— Nic o niczym nie wiem.

— Ej, pani Rokicka, to nie ładnie! Taka dama i tak niezgrabnie udaje.

— Powiedziałam!

— No i po co tu niepotrzebnie przedłużać sprawę. Noc jest, późno, pani potrzebuje spokoju, ja te papiery mieć muszę. Mnie samemu przykro, Bóg wiestj, ja panią rozumię, odczuwam, żal mi nawet. Ale mnie kazano, pędziłem jak pies z sołdatami, co koń wyskoczy. Wrócić bez tego nie wolno mi. Tu też idzie o moje prawie życie. Już i tak jedno poszło pewno niepotrzebnie — westchnął uczuciowo — dlatego ja proszę.

Pani Rokicka milczała.

— Widzisz pani Rokicka, tam i tak

w nich nic nie ma, na nic się nie przydadzą, więc po co robić sobie nieprzyjemności. Nu, ja bardzo proszę i jeszcze raz za wszystko przepraszam. Nu, jakże?

— Powiedziałam już panu.

— Zawzięła się pani na mnie i za co? Krzywdy pani nikt nie zrobił, odjedziemy choćby wsiej czas, zaraz... Może pani nie chce sama, to ja pójdę po nie.

— Proszę mi pozwolić dziecko ułożyć.

— Zaraz, zaraz, biedna dziecina — szeptał przyciszonym głosem. Niechże pani to dla niego zrobi.

— Nie mogę nic zrobić, skoro o niczym nie wiem.

— Więc ja z panią będę bardziej szczery i na dowód wszystko powiem, choć mi nie wolno.

Odetchnął i patrząc się w twarz pani Rokickiej, zaczął:

— Pani się dziwi skąd ja wszystko wiem? Zaraz. Zna pani małego Nykołę, od tego popa z Łobodnej, obok wsi pani?

Panią Rokicką przeszedł lekki dreszcz.

— Nie pilnowaliście go, a on sprytny, zuch, wszędzie się wkręcił i wszystko widział. Dużo głupstw przynosił, jeszcze dawniej, jak tu poprzednik mojego kapitana za Łobodną stał kwaterą. Wczoraj zameldował ważne wiadomości. Obiecaliśmy ruble za coś pewnego. Był dziś pod oknem — mówił, umyślnie przeciągając, — i widział, jak ten starszy legjonist dawał pani papiery. Przez nieostrożność nawet stuknął czapą w szybę, a wtedy pani rękę z dokumieńtikiem schowała pod stół. Myślała pani jednak, że to wiatr. No nie tak?

— To był list od męża, w prywatnych sprawach. Chyba to wolno mi było przyjąć.

— Ależ pani wszystko wolno. Ale ten list... No to pokaż pani ten list.

— Sądzę, że mam z oficerem do czynienia, który nie będzie posuwał się do tego, by cudze listy czytać.

— Bon, ładnie. Jabym też tego nie robił. To jednak nie był list.

— To był list od męża.

— Pani Rokicka, czy pani może dać sło-

wo uczciwej polki na to? Ja nie chcę, ja wiem co to było, tylko ja już pani nie powiem, skąd ja to wiem.

Oparta jedną ręką o stół, wyprostowana, z twarzą ogromnie spokojną, bez słowa, patrzyła pani Rokicka na oficera. Ten jeszcze się hamował, czuć jednak było, że czyni to ostatkiem sił.

...Nykoła, Nykoła! szeptało coś w duszy pani Rokickiej. Kto mógł posądzić go o taką podłość... Więc wiedział, że rosjanie są w okolicy... on tylko... Ukryli ich w Łobodnej... Nikt nie przypuszczał... Całe szczęście, że tamtego Franciszek wyprowadził... Ale co teraz?... Jak im dać znać?... Wystarczy wyjść tylko z tego pokoju...

— Ja czekam, pani Rokicka!

— Proszę pozwolić mi wyjść. Cóż to, więźniem jestem u siebie w domu?

— Cóż znowu? Wyjść pani nie może, bo i tak, musiało się to zrobić, wszystkie drzwi obsadzone.

— To jest prosta napaść na bezbronną!

— Wojna, pani Rokicka.

— Zawołam ludzi!

— I to trudno, bo pilnują ich sałdaty. Wierne ludzie ma pani, wiem, dlatego też trzeba było ich od niepotrzebnych powstrzymać awantiur. Po co to wszystko, kiedy to można w spokoju. Chcę pani wszystkiego oszczędzić i tak już za długo ją męczę. Zawsze pani żona żołnierza, a więc mojego kolegi. Skrzywiła się pani? a co, nie mówiłem, wy na nas jak na wilki, chociaż on wróg, ale zawsze oficjer, kolega.

— Proszę darować sobie te porównania.

— Charaszo, niech i tak będzie. Choć kto inny na moim miejscu... i to, że ja polaków lubię, zżył się z nimi w Warszawie, nauczył ich mowy... Ale to nie do rzeczy. Proszę więc raz jeszcze.

Odpowiedział mu tylko stuk zegara.

— Pani Rokicka, słyszycie?

Ona stała bez ruchu, widać było, że żadna moc już teraz nie ugnie jej postanowienia. Wiedziała, co złożone w jej ręce... Przypomniała sobie uściśnienie ręki, to ślubowanie bez słowa, przypieczętowane krwią tego,

który tam, pięciokrotnym wystrzałem wzywał ją do wytrwania i spełnienia, czego się podjęła, co musiała przyjąć w imię sprawy, dla której rozstała się ze swoim Władysławem... Wzrok jej padł mimowoli na portret pradziada męża, jednego z tych, którzy w Barze wytrwali do ostatka... Patrzyły na nią oczy dobre, łagodne, napominające jakby, że przecież dlatego tu została, na tej placówce, której teraz jest wodzem jedynym. Wytrwa!... Wszak nie zawahała się ani chwili. Teraz i serce się nawet uspokoiło, cisza je objęła i ofiarna gotowość do obrony.

— Pani Rokicka! nie odpowiadacie nawet?!

— Wszystko już powiedziałam.

— Proszę nie przeciągać struny!

— Pragnę tylko spokoju i uwolnienia mnie. Napadnięto na mnie nocą! Nie wiem czy tak postępują...

— Przestań pani! Żądam papierów!! — ostrym głosem rzucił oficer.

— Już przecie tyle razy mówiłam...

— Tak?! A więc ja panią zmuszę.

— Jestem bezbronna.

— Dosyć tej komedji! Nie po dobroci, to inaczej postąpimy.

— Niech pan szanuje swoje szlify! Z kobietą chce pan walczyć?!

— Wolałbym z piekłem całym! — wrzasnął. Natychmiast wydać papiery, bo zawołam sałdatów! Każę dom przeszukać!!

— Proszę.

— Iwan!

W drzwiach zjawił się cień olbrzymiego chłopa w towarzystwie dwu innych.

— Słuszaju-ss!

Miał już rzucić jakiś rozkaz, rozmyślił się jednak. Tłumiona wściekłość bladością padła mu na twarz. Usta mu drgały, oczy latały gorączkowo.

— A, znam! Tak schowaliście, że ich czort nie znajdzie. Wy wszyscy tacy, czort was pabieri! Ale ja je dostanę, Bóg wiestj. Ja każę was — przyskoczył do pani Rokickiej — nahajkami...

Nie dokończył, cofnął się mimowoli przed wzrokiem pani Rokickiej, przeszedł

kilka razy pokój, potym nagle znowu łagodnym począł głosem, nie patrząc już na nią:

— Tfu! jeszcze nigdy tak do kobiety... Nu, ja was przepraszam, pani Rokicka... I nie proszę was, ale błagam, ulitujcie się wy nademną. Ja za to głową nałożę... wszystko już było zrobione i teraz, w ostatniej chwili, przez upór bezpotrzebny... Po co aż do tego doprowadzać... Wy do mnie, pani Rokicka, żalu nie miejcie... cztery noce nie spał... Dzisiejszy rozkaz, to moje przyszłe lepsze życie lub pohańbienie. Honor mego dwarjaństwa... Wszystko zrobiłem, przedstawiałem pani, panowałem, jak nigdy nad sobą, gdyście pani drwili, tak widocznie drwiliście ze mnie, ale tiepier etawo ja uż nie dołżen — mieszał słowa rosyjskie, bełkocąc je... — Tak wy lepiej nie drażnijcie, pani Rokicka! Czas ucieka. Ja was nie chcę zmuszać... mnie się ten wasz spokój i ta wierność podoba, szanuję to, ale ja muszę! Zrozumcie to, pani Rokicka... Nie pozwólcie żebym, — żebym... jak nie oficjer i człowiek...

Nie mówił już, ale prawie jęczał, wi-

dząc, że cały plan może rozsypać się w gruzy. Pędził po pokoju, zatrzymywał się, tarł rękami czoło, zawracał, starał się zbliżyć do Rokickiej i jakby nie mógł, wreszcie zbliżył się do sałdatów. Natknął się na jednego z nich i przypomniawszy sobie o nich, wrzasnął:

— Paszoł won!

Błyskawicznie zniknęli za drzwiami.

— Słuchajcie, pani Rokicka — zaczął na nowo—wy nawet nie chcecie mnie słuchać?!

— Słucham.

— Ja wiem, co się teraz w was dzieje, przecie i ja mam też serce. I gdyby to tamtych miało uratować, to jaby poszedł precz. Ale to wszystko daremne! A ja bez papierów nie wrócę... Ja je dostanę... Sami je dacie. Namyślcie się i taki zrozumcie, że to wszystko bez celu i inaczej być nie może. Widzę to.

Nic nie mógł widzieć, bo nie patrzał na nią, unikał jej wzroku.

— Ja się dziwię... ja jeszcze nikak niet, nigdy tak nikogo nie prosił... Ale to przed damą, to nie wstyd... jak przed siostrą. Nu,

ja nie chcę pani urażać, ale to prawda. Sałdatów oddalił, by nie widzieli... Przecież ten upór pani na nic się nie zda. Nu, pani Rokicka, tak wy odpowiadajcie.

— Proszę mnie puścić. Dziecko...

— Da, da! dziecko, pticzka małaja, pójdzie zaraz spać, tylko wy mnie dajcie to. Przedtym wyjść nie wolno.

— Cóż to ja jestem pod dozorem, czy co?

— A da, pod prismotrom — zaczął znowu pół po rosyjsku — bo sprzeciwiacie się władzy.

— Nie ma pan żadnej władzy nademną!

— Nie chcę — tylko ustąpcie!

— Powiedziałam już przecież.

— Tak?... nu...

Oficer zamilkł. Płomienie latały mu po twarzy i gasły. Czuł, że niema nad nią mocy, że choćby jej cały dom spalił, patrzeć będzie na to z tym samym wyniosłym spokojem, z jakim spogląda teraz na niego. Ta bezsilność jego i to głupie onieśmielenie wobec jednej kobiety, targały nim, wzniecając wściekłość głuchą, graniczącą chwilami ze szałem,

którego wybuchu nie wiedzieć dlaczego się obawiał. Z pod oka zerknął czasem na Rokicką i począł prędko chodzić po pokoju. Nagle w chwili, gdy wodząc wzrokiem po izbie, zobaczył śpiące dziecko, nad którym w tej chwili z bezmierną miłością pochyliła się pani Rokicka, jakaś myśl strzeliła mu do głowy, której w pierwszym momencie jakby się sam przeraził, zbladł jeszcze bardziej, usta wykrzywiły mu się, wahał się, coś ważył, opędzał się przed czymś, mocował sam z sobą, wreszcie jednym susem znalazł się przy kanapie.

— Słuchajcie pani Rokicka — szeptał zduszonym głosem — ostatni raz wzywam was, oddajcie papiery... bo inaczej... znalazłem na was sposób... Pożałujecie! Wydacie! Ale ja nie chcę tak. Nie odpowiadajcie teraz... daję wam pięć minut do namysłu...

Podszedł do drzwi, otworzył je i coś powiedział. Do pokoju weszło trzech sałdatów i stanęło pod ścianą. Oficer usiadł pod piecem i ciężko odetchnął. Potym, chcąc widocznie przerwać tłoczącą się do mózgu myśl,

która niecierpliwością szarpała nim całym, rzekł głośno:

— Iwan!

— Słuszaju-s.

— A czto legjonist?

— Woleju Bożeju pamier.

— Nu...

Chciał coś jeszcze powiedzieć, wargi mu jednak tylko drgnęły, odwrócił głowę, ręka bezwiednie zaczęła odpinać i zapinać jeden guzik kurtki, pod którą tłukło się nieznanym rytmem serce.

W ciszy jaka nastała, słychać było równy, spokojny oddech śpiącego dziecka, któremu wtórował posuwisty chód zegara.

..."Umarł z woli Bożej" — powtarzało się w myślach pani Rokickiej. Ranny słaby, mógł przecież... a jednak wolał umrzeć... Widzi jeszcze młodą jego, ładną, zmizerowaną twarz, te dziecinne prawie jego usta, słyszy ten miły głos. Coś z tego głosu pozostało w tym pokoju, echo jakieś, które niesłyszalnym szmerem wzywa ją do czegoś. Czuje, rozumie, wie już, że teraz od niej, od jej siły

zależy... Nie wie właściwie co, wszystko jedno, cofnąć się już nie wolno... A jednak chwilami dreszcz ją przelatuje, nie śmie spoglądać w stronę drzwi, chciałaby przerwać tę ciszę straszną, unieść dziecko, uciekną̨ć stąd... Juruś!... Jego tylko oddać w bezpieczne ręce, a potym... To "potym" nieznane ściska serce, tłumi oddech w piersiach, odejmuje władzę w nogach, rękach.

...Przypominają się straszne obrazy z przed pięćdziesięciu kilku lat, o których tyle razy słyszała i przez sekundę trwoga szepce jej w ucho, by oddać papiery, uchronić siebie, dom cały... Trwa to jednak mgnienie oka... Czuje, że rumieńce wstydu wypływają jej na bladą twarz, siła wstępuje w całe ciało, coś się w niej dźwiga, podnosi, dokonywa. Spokojny wzrok obejmuje całą izbę, kąty, wypieszczone ciepłotą domowego szczęścia, żal ich jeszcze, już jednak mniej, bo zresztą nic im się stać nie może... Gdyby tak?... Nie, to niemożliwe!... Niema ich w okolicy... Cała zresztą służba pod strażą! Jak się to tam musiał oburzać stary Żelazki. Pewnie o niej

z troską myśli... Nie bój się stary — uspakajała się w myślach — nic się nie stanie... wytrwam do końca... A gdyby... no, to powiedz panu jak wróci... Nie, po co się drażnić, będzie, co ma się stać. Tak postąpiłby i Władysław... I jej nie wolno inaczej!

...Jaki ten pradziad podobny do Władysława — przeleciało jej przez myśl, gdy spojrzała na portret starego konfederata... Władek, Władek!...

Dziecko poruszyło się niespokojnie na kanapie. Pani Rokicka poprawiła mu główkę.

Od pieca wstał nagle oficer. Silnym krokiem zbliżył się do pani Rokickiej, która udawała, że tego nie widzi. Ostrym, krótkim, zmienionym głosem rzekł:

— Nu, pani Rokicka?!

Odwróciła powoli głowę i spojrzała mu pytająco w oczy.

— Wy na mnie tak nie patrzcie, jakbyście wstali ze snu! Wiecie przecie!

— Co?

— Papiery!! — wrzasnął prawie.

— Niech pan nie krzyczy, bo dziecko zbudzi.

— Wy się dzieckiem nie zasłaniajcie, tolko odpowiadać!

— Nie wiem o żadnych papierach.

— Ostatnie wasze słowo?

Pani Rokicka lekko skinęła głową.

— Charaszo! — ha, ha — półśmiejącym, wściekłym głosem wyszczekiwał oficer — mógłbym was kazać oćwiczyć nahajką, jak na to zasługujecie...

— Bezbronna jestem, w waszej mocy, może pan kazać.

— E, niet, ja wiem, że taka jak wy, konać będzie, a nie piśnie. Niet, nie każę także domu przeszukiwać, bo na to niema czasu, zresztą nie znalazłbym, ja wiem, ale inaczej...

Zęby mu zgrzytnęły, ślina przez nie trysnęła.

W jednej chwili przyskoczył do kanapy, porwał Jerzyka na ręce.

Pani Rokicka rzuciła się na niego. Przyskoczyli sołdaci i rozdzielili ich.

— Nie trogat! — rzucił im oficer.

Dziecko, zbudzone nagle ze snu, przerażonymi oczyma patrzało na oficera i na matkę, którą obstąpili sołdaci.

— Puścić!—szarpnęła się pani Rokicka.

Silne ramiona zastawiły jej drogę. Rzuciła się, jak obłąkana, chciała ich rozepchnąć, poczęła gryźć jakieś ręce, które jak kleszczami chwyciły ją za dłonie i nie puszczały.

Jerzyk zaczął płakać.

— Panie! niech oni natychmiast!... Co pan?...

— Niczewo! nie chcecie powiedzieć, to może małaja pticzka nam pomoże. Nu, nie płakał! Nic nie zrobi, powiedz tylko mamie, żeby wydała papiery, ona wie.. bo inaczej sorok kijów.

— Puść go pan! to podle mścić się na niewinnym dziecku!

— A da, da, ja też nie chcę, żal mi, nu, ale jeśli inaczej nie udziałam...

— Mamusiu!... Mamu-u-siu!...

— Jeśli mamusia cię lubi, pójdziesz zaraz do niej, jeśli nie...

— Panie ja wszystko... tylko puść pan, na miłość Boga!

— Papiery?!

Bezradnym, obłąkanym wzrokiem patrzyła na niego, usta jej posiniały, piękną twarz wykrzywił skurcz nieznośnego bolu.

— Puść pan, jeśli pan ma choć trochę honoru! Wszystko panu oddam, co mam w domu...

— Papiery?!

Jerzyk zanosił się od płaczu:

— Niech mamusia da... boję się... mamusiu...

— Widzi pani, jak biedactwo płacze, nu, słowo jedno!

Dziecko wiło się w łkaniu. Płacz ten rwał serce pani Rokickiej, jak kleszczami.

— Panie! to niegodne oficera! Ja błagam...

— Ja także.

Raz jeszcze chciała wyrwać się z poza ramion żołnierzy, ani kroku jednak nie postąpiła.

— Pani Rokicka! Oddajecie papiery? Cicho maleńki!

Z nią działo się coś dziwnego. Coś się jej cisnęło na usta, czego bała się wypowiedzieć, wstrzymywała się całą mocą, widać było, ile razy zrozpaczony jej wzrok padał na wyciągające się do niej drobne rączyny Jerzyka, że słowo to spadnie z jej drżących warg, które nie mogą utrzymać tych kilku wyrazów, mogących wrócić jej dziecko. Usta już się kilkakrotnie otwarły, żaden głos z nich jednak nie wyszedł, przyspieszony tylko oddech i wewnętrzne jakieś łkanie drgały nimi. Płacz dziecka wświdrowywał się w uszy bolesnym głosem, kłuł mózg tysiącami szpilek, które zesypywały sięprzez gardło do piersi... Odwracała oczy od Jerzyka, a one same ciągle powracały do niego; rozszerzone przerażeniem i bezsiłą, wpatrywały się w niego, jakby go chciały wyrwać z rąk oficera, to bznowu półprzytomnie błądziły dookoła, bezradnie szukając ratunku... Każdy głośniejszy krzyk dziecka, szarpiącego się w objęciach oficera, wstrząsał nią, wyprężał i skur-

czał jej całe ciało, że słaniała się na nogach, jak oszołomiona ciężkimi uderzeniami, spadającymi jej na serce...

Już nawet nie próbowała wydostać się z poza ramion żołnierzy, sił nie miała, chciała przygłuszyć tylko ten straszny płacz dziecka i to słowo, które już, już, pchało się na usta. Zacięła je z całej siły, bojąc się, by nieświadomie, mimo jej woli, nie wyszeptały jej wargi, nie wypadło z gardła, w którym uwięzło dławiącym, bezgłośnym krzykiem...

W te blade, trzęsące się wargi utkwił oficer płonące, straszne oczy.

W chwili, gdy podniosła powieko, wzrok jej padł na te oczy, uprzytomniła sobie wszystko, i nagle zdecydowała się. Jakiś oddech głęboki, długi, poruszył jej piersi, jeszcze większa bladość zasnuła jej twarz.

— Ostatni raz pytam, pani Rokicka.

— Mamusiu... mamusiu!...

— Powiedziałam... — rozległo się powoli, stanowczo.

— Ostatnie wasze słowo?

Skinęła głową.

Oficer szarpnął się wściekle, podszedł z dzieckiem na rękach do drzwi i coś zawołał.

Weszło jeszcze trzech żołnierzy. Widocznie domyślili się, bo natychmiast odebrali z rąk oficera szarpiące się dziecko, odeszli w kąt pokoju.

— Łożyś! — wrzasnął oficer.

Rzucono dziecko na dywan, mokry jeszcze od krwi ze zranionej nogi tamtego, grube łapy zdarły ubrańko.

Trwało to zaledwie kilka sekund. Dzieciak bronił się, wołając rozpaczliwie:

— Mamusiu!!... Oddaj to temu panu... ja powiem tatusiowi...

Pani Rokicka rzuciła się naprzód. Odepchnęły ją ciężkie ręce. Wtedy błyskawicznie przyskoczyła do stołu, porwała nóż i na ślepo, nie widząc niczego przed sobą, z bolu i rozpaczy, pchnęła.

Ktoś syknął, popłynęła krew z czyjejś ręki, nagle jednak uczuła, że jakieś żelazne palce wykręcają jej ręce, nóż wypadł, odepchnięto ją brutalnie, że padła na kanapę.

— Nu, wy Rokicka jeszcze za to odpo-

wiecie — wołał — chcąc przekrzyczeć głos dziecka, oficer — a ja wszystko daruję, jeśli powiecie.

— Puśćcie dziecko! To ohydne, podłe!... Nie jesteś pan chyba człowiekiem... To zbrodnia, godna zbója...

— Nie chcecie? Nu...

Zerwał się do żołnierzy i rzucił:

— Biejtie!

Rozległ się świst nahajek i przeraźliwy, straszny, bolesny krzyk katowanego dziecka.

Raz jeszcze rzuciła się, jak obłąkana, pani Rokicka i znowu oślepła z rozpaczy, natrafiła na silny mur rąk.

— Powiecie? Każę przestać.

— Boże, Boże!... Juruś!...

— Nu, Rokicka?! Czort z wami! Serce macie z kamienia, patrzcie — ryczał już, nie krzyczał, odchodzący również od zmysłów, oficer. Zęby szarpały wargi, język mu się plątał, sam widocznie nie mógł znieść tego rozdzierającego serce krzyku, rzucał się od stołu do ściany, kopał krzesła.

— Nie wytrzymacie, jeśliście matka!

Więc po co męczyć?... A ja nie ustąpię... Oficjerskie słowo, nie ustąpię!... Ja was...

— Łotr!! — wyjęczała Rokicka, usuwając się na kanapę.

Oficer rzucił się, jak ukłuty sztyletem, podbiegł do kanapy, nagle jednak zawrócił i wrzasnął:

— Biejtie, biejtie skoro!!

O stare ściany uderzyły głosy padających rzemieni i krzyk ochrypły, wydobywający się z wnętrza małego ciałka, które nie trzeba już było trzymać, bo rzucało się same, wolno po dywanie. Świeża krew zmieszała się z przyschłą już krwią tamtego.

Nieprzytomna, z oczami utkwionymi przed siebie, wsłuchiwała się pani Rokicka w te słabnące jęki z jakąś okrutną, śmiertelną rezygnacją. Każde uderzenie krzywiło jej twarz, targało ciałem; w takt tych uderzeń kiwała głową, jakby to na nią te razy spadały, cichutki jęk otwierał jej sine usta... Czasem wypadło z nich jakieś niezrozumiałe, pieszczotliwe słowo, które pół wymówione cofało się do gardła, pełnego gryzącej cieczy,

to znowu urwany wyraz modlitwy, lub coś podobnego do stłumionego szlochu...

W pewnej chwili zesunęła się z kanapy, przyczołgała do klęcznika, rękami zakryła twarz.

Obok niej stanęli żołnierze.

Ciało pani Rokickiej drgało w takt coraz wolniejszych uderzeń, uszy wyławiały nie jęk już, tylko coraz słabszy oddech zmęczonych piersi dziecięcych — czuła, że ostatnie iskra w nich się już kolebie... Chciała raz jeszcze się zerwać, krzyczeć, błagać... sił już jednak nie miała, nie mogła, wiedziała zresztą, że to nadaremnie, że stało się to, co się stać musiało...

Ohydny świst nahajek urwał się nagle.

Żołnierz podszedł do oficera i coś mu powiedział.

Ten początkowo nie odzywał się, potym kopnął żołnierza i warknął:

— Paszoł!

Domyśliła się pani Rokicka... I teraz dopiero, trzymany na uwięzi szloch, wypadł jej na usta. Oparta o klęcznik dygotała, głowa

uderzała o oparcie, trwało to jednak krótko. Nie sama przecież była... W jednej chwili zastygła w tej postaci klęczącej, jakby zamarła, ręce tylko lekko drgały, z poza drobnych, długich palców zabłysła łza i stoczyła się na ziemię... Jedyna, ostatnia...

Pod piecem siedział, jak ogłuszony oficer. Śmiertelna bladość wystąpiła mu na twarz, jarzące oczy odwracały się ze strachem od miejsca, gdzie w kałuży krwi leżało cicho małe, nieruchome ciałko. Odezwało się w nim poczucie spełnionej zbrodni, rzuciło na niego, obsiadło jak osy mózg i kąsało do krwi. Jakieś szczątki myśli latały mu piorunem pod czaszką. Przestała... Nie płacze nawet... Nie wstanie, bo on tu jest... Za hardą ma duszę, by pokazać po sobie.. Nie podejdzie nawet do dziecka... Tak mało wytrzymało... Nie chciał aż na śmierć... Nie prawda, chciał, wiedział przecież... Jakie to ciało musi być... Chamskie, sołdackie ręce!...

Rzucił mimowoli okiem w stronę dywanu i nagle zdawało mu się, że dzieciak odwrócił głowę i spojrzał na niego.

Jakiś zabobonny lęk zjeżył mu włosy. Chciał powstać, coś go wstrzymało, ugniatało kark, piersi, szumiało w mózgu, gorąco straszne parzyło usta, które mu się rozwarły. A może i ona umarła?... Rzucił się w fotelu, zakrył twarz rękami i znieruchomiał.

W starym pokoju znowu zapanowała cisza. Spokojnie, równo szedł zegar szafkowy, na dworze głośniej szumiały drzewa, suchy trzask konarów wciskał się do wnętrza, jak chrzęst załamywanych rąk...

Pani Rokicka klęczała nieruchomo, nie słychać było nawet jej oddechu.

Jakaś krokiew trzasła w ścianie. Oficer ocknął się. Powoli odwrócił głowę, wpatrzył się w klęczącą, czarną postać. Twarz miał zmienioną. Zrobił ruch, jakby chciał powstać, podejść do pani Rokickiej, powiedzieć coś do niej, przerwać choćby brutalnym przekleństwem tę ciszę, która jak zmora rozczołgiwała się po wielkiej izbie, zamarłej w popółnocnej godzinie. Skrzywił jednak tylko usta, oczy opadły mu na dół, oszołomiona głowa zleciała z powrotem na piersi.

Wściekłość i ból jakiś targały mu wnętrzności, a ponadto niemoc straszna, jaka go ogarnęła nagle w tej żałobnej izbie, której ciszy bał się przerwać. Była chwila, że chciał wstać, zawołać żołnierzy, kazać przetrząsać cały dom, rzucić się na Rokicką... I nagle, nie wiedzieć skąd, wypełzywała z pod serca litość słaba, niemęska, coś w rodzaju współczucia nad tym, czego on sam tylko był sprawcą. Nie, nic nie znajdzie... Choćby każdą szparę przeszukał... Wie napewno... Zresztą po co jeszcze?... Stało się!... Wściekłość mu rozum odebrała, zemścił się podle... Padlec! — syczało mu w uszach i gniotło ciężką głowę... Trudno, wojna... próbował się usprawiedliwiać... Padlec, padlec!... Smagało go po twarzy, po ustach, całym ciele... A zresztą!...

Wstrętne przekleństwo wysączyło mu się ze śliną na wargi.

...Porwać ją teraz za włosy i wyrzucić kozakom na dwór... Wiedział, że nie ośmieli się już tego zrobić, a przecież podniecał się tą myślą. Nie zrobi tego... nie, nie, nie —

drwił spokojnie stary zegar, doprowadzając nerwy jego do stanu ostatecznego napięcia. Przez długi kwadrans wsłuchiwał się w ten szyderczy głos i już miał wstać, kopnąć szklaną szafkę z tym djabelskim, złym starcem — nagle jednak o zmęczone jego uszy uderzył gwar jakiś, zamęt za oknami. Słuchał początkowo, potym jednak napowrót zaczął liczyć chód zegara. Jeszcze tylko dziesięć uderzeń wytrzyma, a potym...

Drzwi otworzyły się gwałtownie, wpadł kozak:

— Wasze błagorodie, legjonisty!

Coś dziwnego stało się z oficerem. Najpierw poruszył się żywo, potym obojętnie odwrócił głowę i machnął ręką, jak chory, który nie może już mówić, a chce dać znać, że mu wszystko jedno.

Kozak wlepił w niego oczy, przestępując z nogi na nogę. Zapanowała znowu cisza.

— Wasze błagorodie!... Doprowadzony do rozpaczy, ośmielił się żołnierz dotknąć rękaw oficera.

Ten wstał nagle, tak straszny, że kozak ukradkiem się przeżegnał.

— Czto gawarisz?

— Leg...

Nie dokończył, bo straszna pięść zwaliła mu się na piersi, w których aż zadudniało. Potoczył się pod drzwi i stanął w nich wyprostowany, jak struna, z oczyma, rozszerzonymi przerażeniem.

Oficer oprzytomniał nagle, żal mu się zrobiło sołdata, sługi wiernego, jakimś zmęczonym ruchem wyjął sakiewkę, wsunął ją w kieszeń na piersiach kozaka i zaczął mu coś prędko szeptać. Twarz żołnierza w miarę słów oficera mieniła się, psie przywiązanie i miłość do pana paliły mu się w oczach, którymi chciał o coś błagać, usta mu drżały, ręce szarpały kurtkę.

— Wasze błagorodie... — wyjęczał.

— Ja tiebie uże skazał. Nu!...

Żołnierz nie ruszył się z miejsca.

— Paszoł won! — dziwnie miękim głosem rzekł oficer i wypchnął go za drzwi.

Podszedł kilka kroków w głąb pokoju, stanął bezradnie, oczy wbił w panią Rokicką.

Nie ruszała się. Słyszała wszystko. Czy jednak sił już nie miała, że ani jednym ruchem nie dała poznać po sobie? Zapóźno... zapóźno — boleśnie, z krwią sączyło się jej z mózgu. Zawsze zapóźno!... Dziś już drugi raz!!... Wstrzymywała gwałtem jakiś płacz straszny, poczynający się gdzieś w głębi umęczonego do ostatka serca.

Oficer zrobił jeszcze jeden krok, chciał coś powiedzieć, rozmyślił się jednak. Zaczął nasłuchiwać coraz wyraźniejszych głosów, słyszał jak popędził tabun koni, potym kilka wystrzałów i nowy tętent, zbliżający się szybko. Wtedy ze spokojem wyjął rewolwer i cicho wyszedł na ganek, zamykając drzwi za sobą.

Panią Rokicką wstrząsnął huk i stuk ciała, padającego na deski ganku.

Podniosła się z klęcznika, oparła się ręką o niego, by nie upaść. Chciała podbiedz, rzucić się na dywan, przypaść ustami do niego, nie mogła jednak. Zaczęła cicho jęczeć,

a potym powoli, ostrożnie, opierając się na sprzętach, podsuwać się, zbliżać, dobywając ostatka sił, do tego strasznego miejsca. Zdawało się jej, że idzie już długo, a dywan coraz bardziej oddala się od niej, czasem niknie jej z oczu, przemienia się w czerwoną mgłę, która źrenice jej razi, oślepia... Pokój wydłużał się nadmiernie, końca nie widać... nie dojdzie, bo nogi zapadają się jak w ciężką, lepką glinę i ta mgła straszna, czerwona... Przemieniła się w gorącą, krwawą ciecz i cieknie jej z oczu, które nie płaczą...

Uszła jednak tylko kilka kroków, gdy drzwi załomotały, wleciał ktoś przez nie.

— Obywatelka Rokicka?...

Spojrzał na nią i słowa zamarły mu na ustach.

Pani Rokicka jednak opanowała się nagle. Z jakimś strasznym spokojem wyszeptała:

— Tak jest.

— Co tu?... Ten na ganku?... — mówił bez związku. — Chłopak stajenny wyrwał się, koń mu padł... ostatni kilometr piecho-

tą... Pędziliśmy co tchu... Po drodze spotkaliśmy starego woźnicę, Franciszka, zaraz tu będzie... mówił o jakichś papierach... Nic nie wiedział, że oni tu... Pani słaba!... A tam co? Jezus Marja!! — patrzał na dywan, nie mogąc postąpić kroku. Po czole staczały mu się grube krople potu.

Pani Rokickiej zadrgały usta, potym, nie wiedzieć skąd dobywając resztek sił, rzekła:

— Proszę zaczekać. Zaraz wrócę.

Wyszła, potykając się, jakby jej kto kłody podrzucał pod nogi.

Za dłuższą chwilę wróciła.

Na dywanie, nad małemi zwłokami klęczał już Franciszek; ze siwych wąsów spadały ciężkie łzy, z gardła dobywał się chrapliwy głos. W pokoju było już kilka szarych żołnierzy.

Pani Rokicka zbliżyła się do tego, który pierwszy wszedł.

Podała mu papiery:

— Pułk Jelity? Tak, to proszę... Miałam odesłać wcześniej... Nie można było...

Drżące ręce wysunęły się po papier. Nie mógł zdobyć się na słowo.

W ciszy, przerywanej tylko tym strasznym jakimś, dziwnie chrapliwym, głosem starego, zaszeleściły znowu słowa pani Rokickiej:

— Niech Franciszek... Jerzyka... do mego... pokoju...